Nr. 31 Rok 5 Kraków, dnia 30 lipca 1944. 40 gr.



W SŁOŃCU

Fot: Eurofot

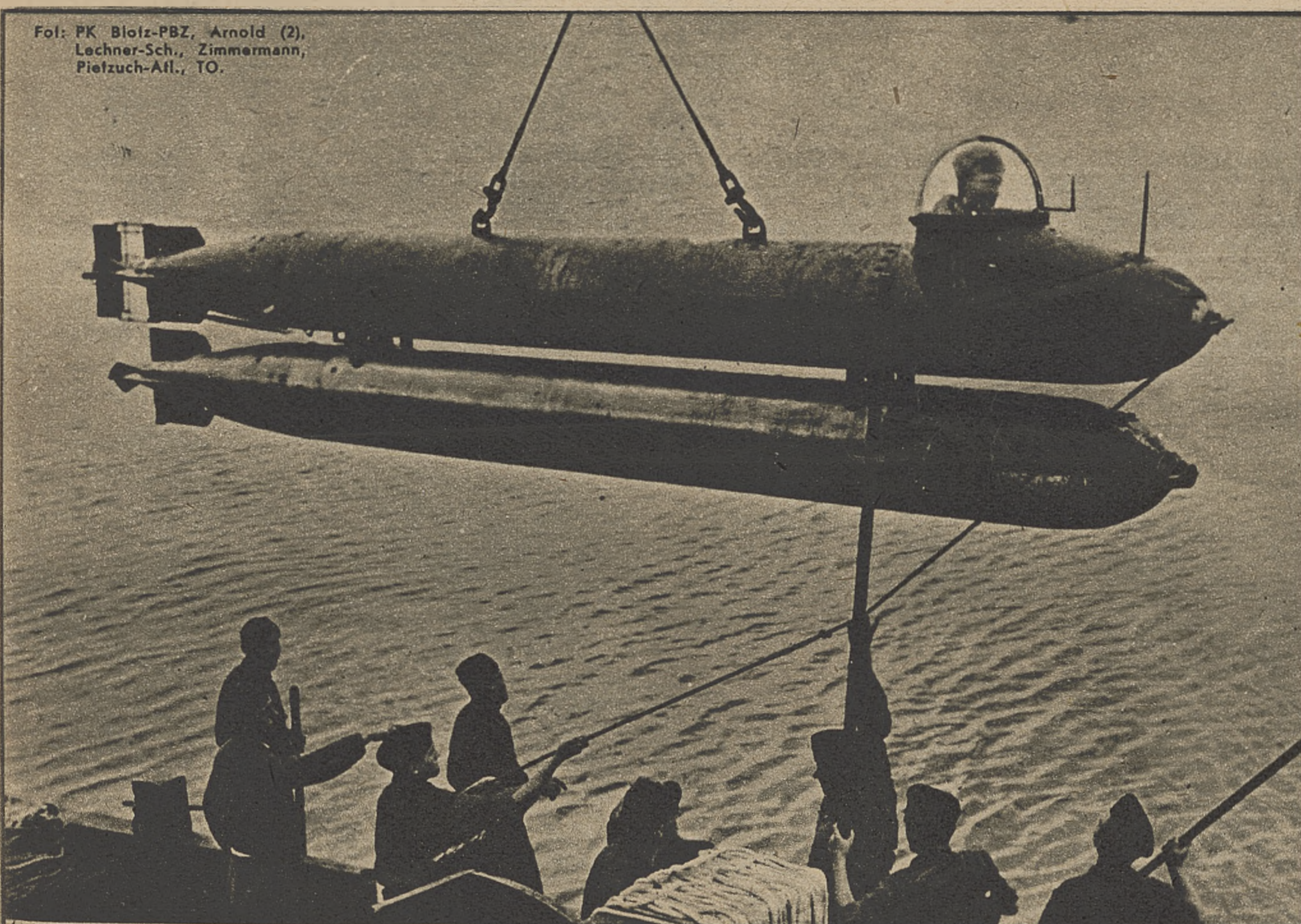


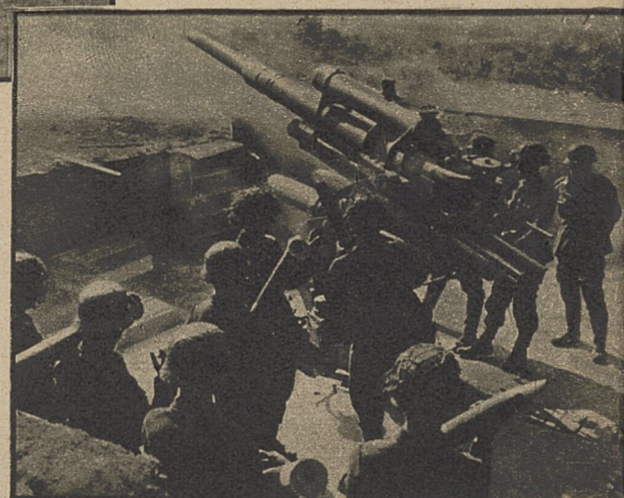
ATAK
Niemiecki pociąg pancerny — w drodze do przednich pozycji — napotkał oddział sowieckich żołnierzy. Grenadierzy szybko wyskakują z wagonów, by zniszczyć nieprzyjaciela.



CIĘŻKI MIOTACZ GRANATÓW W BOJU
Granatnikowy ładuje bez przerwy po sześć g[...]natów do luf miotacza należącego do jed[...] z baterii na froncie wschodnim.

Fot: PK Blotz-PBZ, Arnold (2), Lechner-Sch., Zimmermann, Pietzuch-Atl., TO.



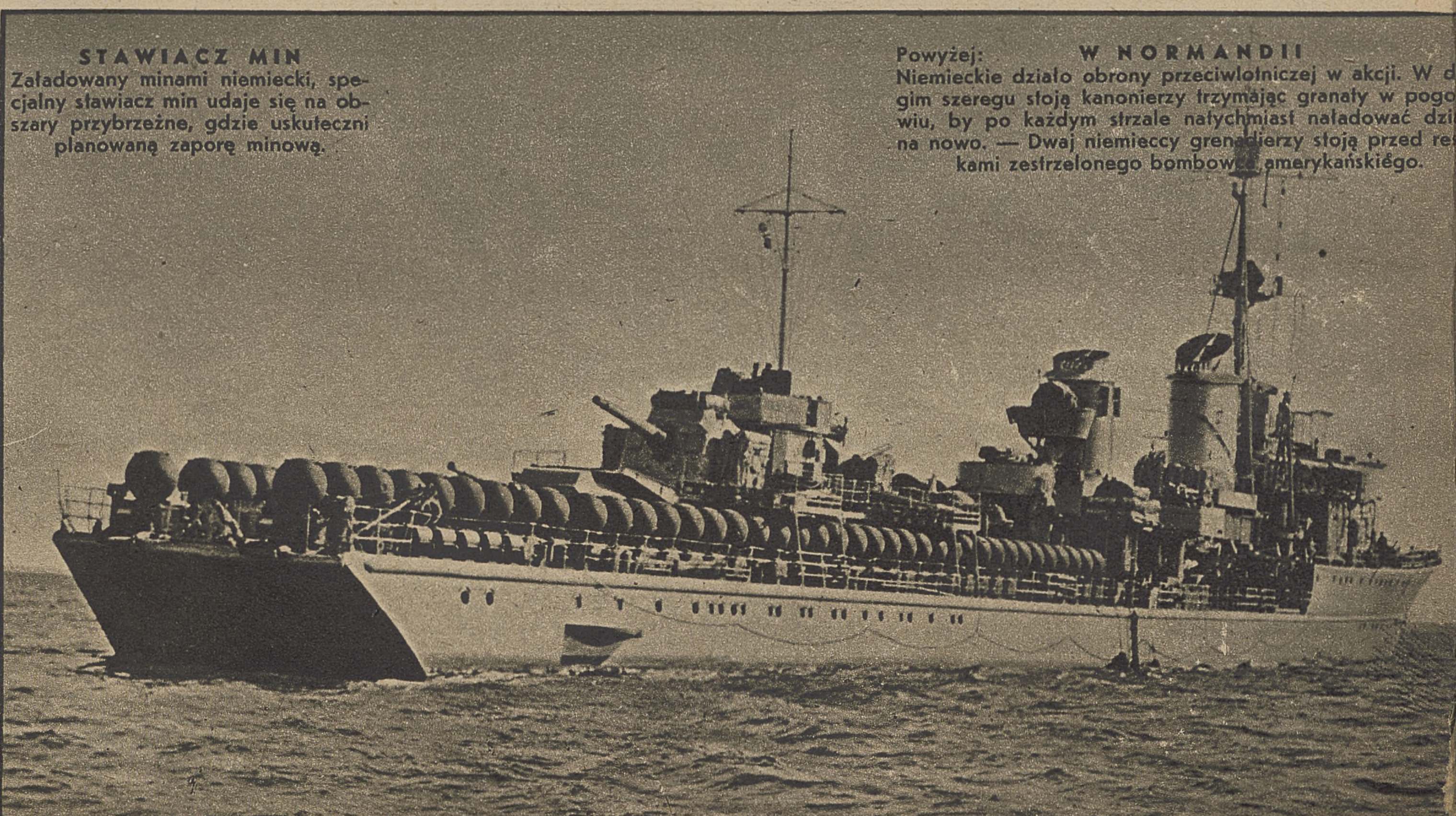




Powyżej: **JEDNOOSOBOWA TORPEDA**
W zatoce Sekwany i w kanale La Manche niemiecka marynarka posługuje się jednoosobowymi torpedami, by w ten sposób skuteczniej zwalczać zgrupowania okrętów. Żołnierz siedzący w górnej części steruje torpedą, kierując ją na okręty nieprzyjacielskie, a następnie wyrzuca ją.



ADMIRAŁ MOMURA
nowomianowany minister japońskiej marynarki.



STAWIACZ MIN
Załadowany minami niemiecki, specjalny stawiacz min udaje się na obszary przybrzeżne, gdzie uskuteczni planowaną zaporę minową.

Powyżej: **W NORMANDII**
Niemieckie działo obrony przeciwlotniczej w akcji. W d[...]gim szeregu stoją kanonierzy trzymając granaty w pogo[...]wiu, by po każdym strzale natychmiast naładować dzi[...] na nowo. — Dwaj niemieccy grenadierzy stoją przed res[...]kami zestrzelonego bombowca amerykańskiego.

PETSAMO



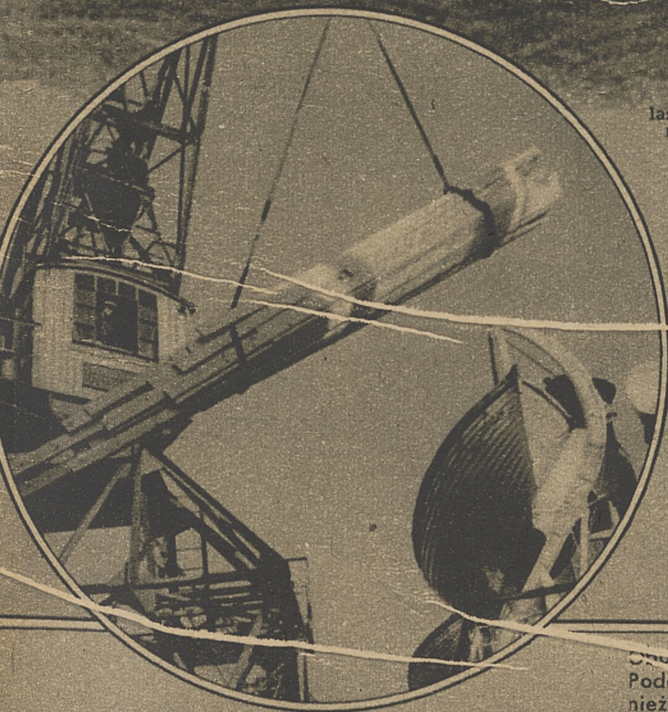
Fot: Seller

Rzeka Petsamo wije się malowniczo przez rozległe lasy, tworząc liczne zakręty i pętle, aż wreszcie już w obszarze tundry wpada do oceanu Lodowatego.

Na dalekiej Północy, wśród gęstych lasów i tundr Finlandii wije się srebrzystą wstęgą rzeka Petsamo, która między Kirkenes a półwyspem Rybackim wpada w zimne objęcia oceanu Lodowatego. Przy jej ujściu leży najdalej na północ wysunięta placówka fińskiej cywilizacji, Liinshammari, jedyny port Finlandii nad oceanem Lodowatym. Obszar rzeki Petsamo, zajmujący przeszło 10 000 km² powierzchni, graniczy od wschodu z ZSRR, na południu dochodzi do źródeł rzeki Luti, od zachodu omywają go fale oceanu Lodowatego. Dziwna melancholia i jakiś smętek snuje się wraz z oparami unoszącymi się nad tym obszarem pokrytym gęstymi, nieprzebytymi lasami, przechodzącymi w pobliżu morza w pustynną równinę, pokrytą tylko z rzadka mchami, zwaną tundrą. Ludność w pasie nadmorskim żyje z rybołostwa i połowu fok, poza strefą przybrzeżną z wyrębu lasu, a częściowo z górnictwa. W obszarze rzeki Petsamo znajduje się bowiem jedyna w całej Europie kopalnia niklu. Finowie, ten niezwykle przedsiębiorczy naród, rozpoczęli w roku 1920 budowę linii kolejowej, mającej łączyć obszar Petsamo z środkową Finlandią. (Prace nad budową tej kolei przerwała w roku 1940 wojna fińsko-rosyjska). Jest to przedsięwzięcie zakrojone na potężną skalę, jeśli się weźmie pod uwagę niezwykle słabe zaludnienie Finlandii (posiadającej zaledwie 4 miliony mieszkańców, a więc mniej niż np. Berlin, a rozmiarami dorównującej Niemcom), oraz niesprzyjające mocno warunki klimatyczne. Podczas długotrwałych okresów zimowych zaspy śnieżne, silne mrozy i mrok trwający szereg dni i nocy utrudniają ogromnie prowadzenie robót zwiększając niezmiernie koszta budowy kolei żelaznej. Podziw nas ogarnia na myśl, że w tak trudnych i ciężkich warunkach zdołali jednak Finowie wybudować port i uruchomić kopalnię niklu, a fakty te świadczą o zwycięstwie inteligencji i woli człowieka nad ślepym i wrogim niekiedy dla niego żywiołem — przyrodą.



Łodzie przewożą załogę okrętu i pasażerów z przystani rzeki Petsamo na okręt. Ponieważ granica wiecznych lodów jest już blisko, panuje tu często przejmujące zimno, a powietrze jest przesycone mgłą.



Obok w kole: Podobnie jak w Helsinkach również i w Liinshammari, wolnym od lodu porcie oceanu Lodowatego ładuje się drzewo na okręty do dalszego transportu.

U góry na lewo: Widok ogólny Liinshammari, portu leżącego przy ujściu rzeki Petsamo.



Krajobraz lasów i tundr o świcie.



Wioska rybacka położona na skalistym wybrzeżu oceanu Lodowatego Północnego. Morze jest tu wolne od lodu i kry dzięki płynącej odnodze Golfsztromu.

Na froncie



Obok:
Pancerz z ostrych igieł niepokaźnego jeżowca odstrasza nawet najgroźniejsze zwierzęta.

Na prawo:
Wszystkie niemal odmiany kaktusów posiadają kolce obronne.

Na lewo:
Na te dwa olbrzymie kły nadziewa słoń swego napastnika.



Fot. Scherl



Powyżej:
Kolczaste liście górskiego ostu dostatecznie chronią roślinę przed spożyciem przez zwierzęta.

Przyroda, którą napotykamy na każdym kroku, — a więc: na polach, w naszych lasach, w rzekach, jeziorach — zasadniczo nie wyjawia przed oczyma powierzchownego obserwatora żadnego ducha wojowniczego, a tok życia wszelkich istnień w przyrodzie wydaje się raczej ze wszech miar harmonijnym i pozbawionym konfliktów. Jednak gdy się przypatrzymy bliżej, zauważymy, że zarówno w świecie roślinnym jak i zwierzęcym odbywają się — niewidoczne dla oka ludzkiego — zacięte walki, decydujące niejednokrotnie o istnieniu tych lub owych stworzeń czy gatunków. Silni wywalczają sobie prawo do życia, słabi natomiast muszą zginąć! Tylko w bardzo nielicznych stosunkowo wypadkach zarysowuje się widoczna dla naszego oka broń, w którą przyroda wyposażyła swe stworzenia, w postaci narządów służących do obrony lub napaści, a którą my pozwolimy sobie — na wzór określeń zaczerpniętych z nowoczesnych frontów — podzielić na broń — zaczepną i obronną.

Z tego punktu widzenia wychodząc znajdziemy wiele okazji do podziwiania celowości w przyrodzie.

Zwierzęta roślinożerne, które bez trudu zdobywają pokarm dla siebie, zostały wyposażone raczej w środki obronne, w przeciwieństwie do zwierząt mięsożernych posiadających typowe narządy zaczepne, którymi atakują swoje ofiary. Stąd nawet otrzymały nazwę zwierząt drapieżnych. Bardzo często samo uzębienie stanowi już broń zwierzęcia. Wszystkie odmiany dzikich kotów, dalej wilki, szakale itp. mają specjalnie duże i ostre kły i siekacze, służące im do chwytania i roz-

Poniżej:
W powiększeniu wyraźnie widzimy włoski pokrzywy, które przy najlżejszym nawet dotyku wwiercają się w ciało i tym samym wstrzykują jad powodujący oparzenie skóry.

Na lewo:
Przy pomocy licznych ostrych zębów rozdziera aligator swoje ofiary.



Na prawo: Podobnie jak wszystkie koty, ryś pustynny posiada ostre uzębienie cechujące zwierzęta drapieżne.

Obok: Skuteczną bronią uderzającą są potężne rogi kozła.

Poniżej: Rak rzeczny jest wyposażony zarówno w „sprzęt bojowy" obronny jak i zaczepny. Przy pomocy ostrych szczypiec chwyta on ofiarę, a twarda skorupa natomiast chroni jego ciało przed atakiem napastnika.









Typową broń obronną w formie igieł posiada jeż i jeżowiec. Ich pancerz z igieł jest dostateczną ochroną nawet przed wielkimi napastnikami.

Świat roślinny ustosunkował się raczej obronnie w walce o swe istnienie, z wyjątkiem nielicznych roślin mięsożernych.

Również i tu różnej wielkości kolce i ciernie — okazały się skuteczną bronią.

Najlepszą broń z kolców mają kaktusy. Znajdujemy tu wszystkie odmiany kolców, począwszy od maleńkich haczyków, powodujących przy dotknięciu zapalenie skóry, aż do wielkich igieł.

Róża wyposażona jest w ciernie, by ochronić swe łodyżki przed obgryzieniem. Ten sam cel spełniają wszelkie ciernie u wijących się krzewów z jagodami. Niektóre rośliny jakkolwiek nie posiadają kolców na łodyżce mają liście zakończone ostrymi szpilkami; np. oset, co dostatecznie uniemożliwia zwierzęciu spożywanie go.

Specjalnym gatunkiem kolców posługuje się pokrzywa. Jej maleńkie, piekące włoski mają ostre końce, które przy najlżejszym dotyku wbijają się w skórę zwierząt i ludzi i tym samym jakby wstrzykują znajdujący się na końcu włoska jad, powodując pieczenie i opuchnięcie.

szarpywania zdobyczy. Również krokodyl i rekin — najbardziej niebezpieczne zwierzęta drapieżne tropikalnych rzek i mórz — posiadają charakterystyczne uzębienie, którym miażdżą zdobyty łup. Zupełnie inny charakter mają zęby jadowitych wężów, służące nie tyle do zabicia przeciwnika przez zadanie mu ciężkich ran, lecz celem ich jest raczej wstrzyknięcie jadu, którym zabijają lub otumaniają na jakiś czas swoją ofiarę. Dwa olbrzymie kły słonia nie służą ani do gryzienia, ani do wstrzykiwania jadu, są w gruncie rzeczy typową bronią obronną, której zadaniem jest rozpruć napastnika. Pewną odmianą broni zaczepnej są rogi. Wszystkie odmiany kóz, wszelkie bydło, antylopy, rozmaite odmiany jeleni — posiadają rogi, które dopiero z biegiem lat przekształciły się w broń zaczepną z potrzeby obrony jako zrogowacenie skóry (nosorożec), a u innych składają się z kości i są mocno ze szkieletem czaszki połączone (jeleń). Bardzo ciekawą i charakterystyczną rzeczą jest właśnie u zwierząt rogatych, że mimo swej wielkości i przeważającej siły ulegają w walce ze słabszymi od nich zwierzętami. I tu właśnie godnym uwagi jest fakt, że zwierzęta rogate są z gruntu głupsze, w walce tracą panowanie nad sobą i spokój; tak, że mniejsze twory pokonywują je raczej chytrością i zręcznością, jakby wyrównując tym samym swe braki i niedomagania.

Obok: Już sam widok groźnych rogów tego potwornego nosorożca daje nam pojęcie o potędze i sile jego uderzenia.

Poniżej: Przez odpowiednie kanaliki w zębach grzechotnika, w momencie ukąszenia ofiary, przedostaje się do ciała zabójczy jad.



przyrodniczym



Mały Światek

Z życia jednego z przedszkoli R. G. O. w Krakowie



Przez spuszczone story wkradają się ciekawe promienie słoneczne. Drżą złotymi plamami po podłodze, pełzną wyżej na małe białe łóżeczko stojące pod ścianą i łaskocą ciężkie powieki Marysieńki.

— Nie, nie! Spać mi się jeszcze chce — mamroce w półśnie dziewczynka i odwraca się na boczek. Ale promyki nie dają za wygraną.

— Cóż to? Wolisz tutaj leżeć w tym dusznym pokoju? Patrz, jak cudownie na świecie!

Marysia krzywi buzię w podkówkę. Już chce płakać. Taka mięciutka i ciepła ta poduszka. — Nie, wcale nie wstanę. — Ale nagle dziewczynka podrywa się gwałtownie. Poduszka w jednym kącie, kołdra na ziemi i ciszę pokoju rozdziera krzyk:

— Mamuś! Ja dzisiaj idę znowu do przedszkola!

Och, to przedszkole to lekarstwo na wszystko. Mamusia doskonale pamięta poprzednie dni, kiedy musiała błagać:

— Marysiu! Przestań wreszcie płakać i chodź to cię ubiorę. Dziecko, na miłość boską, jesz śniadanie godzinę, a pół bułki jeszcze nie zjadłaś. Marysiu, idź się bawić do swojego kącika, bo muszę Halinkę pilnować i o obiedzie pomyśleć. A teraz w ogóle mowy o tym nie ma.

— Mamuś! Daj mi prędzej sukienkę, bo się na pewno spóźnię.

Marysia z wypiekami na policzkach odsuwa Halinkę, która patrzy na nią z otwartą buzią:

— Gdzie ty idzies Malysiu?

— Nie przeszkadzaj mi! Nie widzisz, że idę do przedszkola?

Nadęły się przy tym dumnie policzki, a piegowaty nosek poleciał jeszcze bardziej w górę. A śniadanie? Hoho! Teraz dziecko nabrało samo apetytu. Nie ma mleka przydymionego i twardego chleba. Kromka znika błyskawicznie i Marysia zakłada na szyję swą śniadaniówkę. To jest jej największy skarb obecnie. Gdy przychodzi z przeszkola kładzie ją podczas obiadu obok talerza. Po południu śniadaniówka wisi przy łóżeczku i niechby Halina odważyła się ją tknąć. Wtedy wrzask bije aż pod niebiosa, a przerażeni sąsiedzi zbiegają się pod drzwiami, sądząc, że stał się jakiś nieszczęśliwy wypadek.

Do przedszkola odprowadza mamusia.

— Chodźże prędzej! — niecierpliwi się dziewczynka, która biegnie drobnym kroczkiem „aby było prędzej".

Policzki jej kwitną rumieńcem a oczka się iskrzą radośnie.

— O już są! Jest już Marysia! — wrzeszczą dzieci w przedszkolu. Kręci się w oczach, gdy się patrzy na tę rozbieganą żywą gromadkę. Ta ma niebieską sukienkę i warkoczyki, a ta plażówkę i złote loczki. Ten znów chodzi boso, no „bo gorąco i butów szkoda". A wszyscy: — Proszę pani! bo ten to, a tamten tamto. I tak dalej, i tak dalej. Pani ucisza, godzi, zapina majtki, ociera noski i skupia powoli wokół siebie gromadkę. Największą przyjemnością jest rysowanie. Wtedy każde sapie z wysiłku, pochyla główkę, aż nos jeździ po papierze i rysuje. Ach! Cudowności oczywiście. Nic dla nich nie jest za trudne. Jakże wspaniale wygląda mamusia, której nogi wyrastają z głowy. A ta Halinka jest zupełnie jak żywa, tylko jej nosa i włosów brakuje. Ale to bagatela. Potem każde takie arcydzieło trzeba schować pieczołowicie z wykrzyknikiem:

— Ślicznie, moja córuś jedyna.

Tablica jest większa więc mieści się tam i duży dom i świerki. Musi być woda, a w niej żaby no i bocian. Tutaj fantazja nie ma granic a dzieci są wprost zachwycone swoją pomysłowością.

Pod oknem stoi arcydzieło. Własnoręcznie wybudowana wieś z drzewami, które cudownie zakwitły białą bibułką. W środku staw z dwoma bocianami, które można przenosić z jednego końca na drugi.

— Patrz! Tam się żaba rusza w trawie — woła Jaś, wlepiając ślepki w staw.

— Gdzie? Gdzie? — wołają dzieci. Pochylają ciekawie główki i wytężają wzrok. Tutaj w przedszkolu wszystko możliwe. Kto wie czy jednak żaba nie rusza

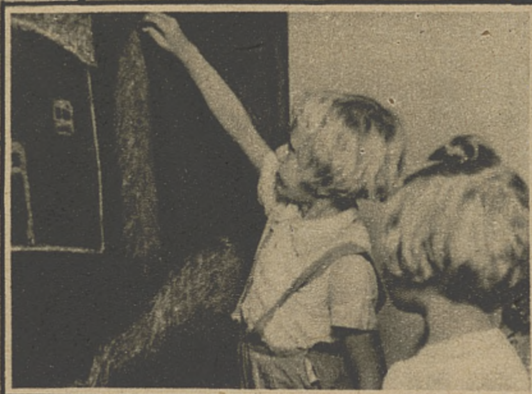
Tekst I. Walczakowa, Fot. W. Walczak, Kraków



Powyżej: Bawić się w piasku. To ci dopiero raj!

Na lewo: — Patrz, tam się żaba rusza w trawie...

Poniżej: A jak otoczą pianino i hukną aż dusza rośnie.





Powyżej: Największą przyjemnością jest rysowanie.

Poniżej na prawo: Koło, piłka i taczki i kto by tam zliczył.

Poniżej: — A teraz bawimy się klockami!





Poniżej: Drugie śniadania znikają wraz z kawą i herbatą.

się w tej zielonej bibułce która tak ślicznie imituje trawę. Te domki, to duma dzieci. O, nie byle kto to potrafi, nie byle komu się uda.

— A teraz bawimy się klockami — woła Pani. Z pudła wysypują się góry klocków. Jerzyk przekrzywił głowę, wysunął język i buduje kościół. Ryszard znów dom. Dziewczynki wolą mozaikę. Nie ma tutaj kłótni i awantur.

— Trochę się poczubimy, ale zaraz potem przeprosimy — zwierza się Marysia. Tutaj dzieci wyzbywają się egoizmu i dzielą się sprawiedliwie zabawkami.

A jak otoczą pianino i hukną: „Gdzie strumyk płynie zwolna", aż dusza rośnie. Wprawdzie Adaś nie ma słuchu i więcej deklamuje niż śpiewa, a Zosia znowu kończy o całą zwrotkę później, ale to nic. Ślicznie brzmi i dzieci są zadowolone, że umieją śpiewać.

Ale do najprzyjemniejszych chwil zaliczają wycieczki. Czy na Salwator, czy nad Wisłę, gdzie bawią się w piasku. To ci dopiero raj! Nagie ciałka brązowieją. Rumiane buzie uśmiechają się wesoło. A jaki kolosalny apetyt! Drugie śniadania znikają wraz z kawą i herbatą i każde pędzi aby zbudować kopiec duży. Musi być największy i najładniejszy. Słoneczko świeci: dzieciom przyjemnie czas upływa, a Pani pot kapie z czoła. Następują po sobie coraz nowe zabawy. Koło, piłka i taczki i kto by tam zliczył.

Gdy zbliża się druga dzieci wzdychają żałośnie.—Więc to już koniec, więc musimy pójść do domu? Ale zaraz potem rozjaśniają się buzie. — Ale jutro znowu tutaj przyjdziemy!



KARTKA ZE ZNALEZIONEGO DZIENNICZKA

ZNALAZŁ BRO-WICZ

21 marca . . .

Jestem ładna. Czy ładna? Może to zbyt skromne określenie. Jestem piękna. Tak. Śmiem tak twierdzić stanowczo, gdyż mam dowody na to. Mówią mi o tym zaczepne spojrzenia mężczyzn, których mijam na ulicy w mojej codziennej wędrówce z domu do biura i z biura do domu, mówią koleżanki biurowe, te niby życzliwe, spowiada się mi z tego codziennie moje zwierciadło. Podobno jestem zbudowana jak Diana. To już jest nie tylko zdanie mojego Zbycha. Jak on to dowcipnie powiedział mi kiedyś na plaży: „najzgrabniejsza spośród najpiękniejszych mogłaby skoczyć do kiosku po tabakę dla ciebie." Po tabakę i dla mnie — też mu się udało.

Wiedziałam o tym oczywiście wcześniej, lustrując się nieraz długo i krytycznie w lustrze i w kąpieli.

Podobam się sama sobie i jestem — muszę to sobie przyznać w duchu — z siebie zadowolona a przy tym w sobie nieco zakochana. Ale cóż ja biedna niewiasta mogę poradzić na to. To jest mój jedyny grzech nieśmiertelny, nikomu nieszkodzący a za to bardzo przyjemny więc biorę go z ochotą na moje sumienie.

Cieszę się swą urodą jak dziecko nową zabawką, cieszę się żem jeszcze młoda i życie ma dla mnie sens. Cieszę się, że wszystko co jest we mnie, jest silne i zdrowe. Martwię się chyba tylko tym, że młodość, jak bają starzy filozofowie, szybko przemija, a ja mam już lat . . . blisko trzydzieści i jestem matką sześcioletniego bobaska. Brzmi to trochę tragicznie, choć dla sprawy mej młodości nie ma najmniejszego znaczenia, gdyż wyglądam w dalszym ciągu na podlotka i czuję się jak szesnastolatka. Toteż śmieję się jak głuptas, gdy idąc ulicami zwracam na siebie uwagę . . . mężczyzn, zwłaszcza starszych, tych podtatusiałych panów.

Dla kogoś obserwującego z boku bajeczny musi to być widok, gdy taki stateczny pan rzuca mi w oczy lubieżne spojrzenie i mija mnie jakby nigdy nic. Nagle, kilka kroków za mną przystaje — słyszę to wyraźnie — i ogląda się dyskretnie jakby coś nagle zapomniał lub zgubił. W rezultacie zadaje sobie — jestem tego pewna — takie niewinne pytanie: „niby z przodu zaprasza, ale czy z tyłu nieodstrasza?" Takich scen bywa nieraz kilka w ciągu dnia. Ciekawam, czy mój Zbych, też tak ogląda się za którą? Muszę spróbować go kiedy śledzić.

O wy mężczyźni, mężczyźni! Jacy wy jesteście nieskończenie naiwni. Dajecie się nabierać na nasze wdzięki jak ryby na wędkę. Nawet nie przypuszczacie jak łatwo przychodzi kobiecie, nawet nieposiadającej walorów Wenus ani Lukrecji Borgii „zrobić się" zgrabną i ładną. Ileż sposobów mamy na to. Wystarczy włożyć buciki na wysokich korkach, aby już w ten sposób poprawić sobie „linię". Oczywiście przy tym musi się uwzględnić maleńki waruneczek; nóżki muszą być zgrabne i nie należy odsłaniać kolan zanadto. — Ta obecna moda krótkich sukien jest naprawdę fatalna. — Po takim małym zabiegu macie nareszcie to, co chcecie podziwiać: ładne ,smukłe nogi, takie samiutkie ,jakie mają modelki w żurnalach paryskich, które jeżeli kiedy z zainteresowaniem przeglądacie — myślę tu nota bene o żurnalach — to tylko z tego jednego, jedynego powodu.

A z buzią to znów inna, bardziej długa i tajemnicza historia.

15 kwietnia . . .

Ta sama, wiecznie ta sama droga, z domu do biura i z biura do domu. Znam ją już na pamięć do znudzenia, mogłabym odbyć ją bez trudu po ciemku. Te same domy, okna, wystawy, dorożki i tramwaje, te same chodniki, zakręty, wyboje, ścieżki na przełaj, drzewa i zawsze ci sami ludzie. O tej samej godzinie, przez cztery pory roku, z wyjątkiem pogody — to samo. Monotonia życia miejskiego, od której można czasem oszaleć.

Na szlaku mej codziennej wędrówki nikogo z przechodniów nie znam osobiście a przecież wszyscy są mi tak dobrze znani jak najbliżsi krewni. Ubiór, spojrzenie, wyraz twarzy mówią mi za nich więcej niż sami chcieliby powiedzieć i zdradzają mi to, co każdy w głębi serca chowa. Odnoszę czasem wrażenie, że jestem wielkim, nieomylnym psychologiem. Trafność w ocenianiu charakteru na odległość jest miłą zabawą i daje dużo satysfakcji.

Niektórych z przechodniów znam nawet po imieniu. Właściwie imiona są mniej lub więcej złośliwymi przezwiskami, którymi darzę ich szczodrze i dowolnie, zależnie od fantazji, humoru i sympatii, jaką dla każdego z nich chowam w mym sercu. Jest to dla mnie jedyna, bardzo dziecinna, lecz rozkoszna zabawa.

O godzinie punkt 7.15 dopędza mnie zazwyczaj pod Arkadami Grzyb i Latający Mól. Są to osobnicy nie tyle interesujący ile wyjątkowo śmieszni. Zawsze są podnieceni i zawsze się im gdzieś bardzo spieszy. Biedny, niedołężny Grzyb, to jakiś stary, zacny profesor, a Latający Mól podobny do Pata to zapewne jego młodszy kolega. Grzyb jest niski i gruby i ma na sobie bardzo długi płaszcz. Idąc natęża wszystkie swoje siły, a jednak zawsze pozostaje w tyle i nigdy nie może dopędzić Latającego Mola. W tym właśnie biegu tkwi komika ich postaci.

Na Bulwarach mijam się z czarnooką Seniorità. Ładna z niej bestyjka, choć może troszkę za korpulentna, lecz mężczyźni to lubią. Jest nadzwyczaj elegancka, gustownie ubrana i trzeba bezstronnie przyznać, robi swą nienaganną powierzchownością niezłe wrażenie. Ale skąd u licha stać ją na te coraz to nowe, kosztowne fatałaszki. Drugi kapelusz w tym samym miesiącu — to doprawdy zagadkowe. A potem ta bardzo oryginalna, czerwona, safianowa torebka, buciki na korkach i gazowe, stuprocentowe gazowe pończochy zawsze bez jednej cery, budzą we mnie doprawdy już nie samą tylko ciekawość, ale szał zazdrości. To pewne, że albo ma dobrą posadę, albo bogatego kochanka. To drugie nie ulega wątpliwości!

Na rogu koło Franciszkanów zwykle spotykam Lalę. Młoda i niebrzydka dziewczyna, a jakże nieprzyzwoicie umalowana i wyondulowana. I po co? — i dla kogo? Naprawdę nie rozumiem tej kobiety. To zapewne jakaś początkująca fryzjerka.

Ale już do prawdziwej pasji doprowadza mnie zachowanie się Żółtodzióbka. Co ten smarkacz sobie właściwie o mnie myśli? Ile razy przechodzę koło jego szkoły a on stoi w gronie swoich kolegów, tyle razy robi do mnie „oko" i uśmiecha się z bezczelnością przechodzącą ludzką wyobraźnię. Gdy mam szczęście spotkać go samego, wtedy nie patrzy mi w oczy i ma bardzo skruszoną minę, niby braciszek zakonny. I co z takiego draba kiedyś wyrośnie? Co prawda, wierząc w męską stałość mam nadzieję, że już wkrótce się zmieni. Widziałam, jak wczoraj na ulicy pożyczył Albince, mej rozkosznej sąsiadce z drugiego piętra, jakąś książkę. Przewiduję początek jego nowego romansu. Przecież od wieków w ich wieku od tego właśnie się zaczynało. Ach Albina — co to za zuch dziewczyna. Ona da sobie radę na pewno nie tylko z Żółtodzióbkiem. Trzeba to widzieć z jakim ona wdziękiem nosi swój najnowszy kapelusz z piórkiem, albo nakłada swoje jedwabne rękawiczki. Jak prawdziwa grande dame. To już młoda, doświadczona kobietka, chociaż chodzi do klasy II-ej B i studiuje księgowość.

Oczywiście trudno mi tymi wszystkimi bajdurzeniami zamęczać po powrocie do domu mojego Zbycha, albo broń Boże przyznać się mu, że prowadzę sobie ten pensjonarski dzienniczek. W najlepszym razie naraziłabym się tylko na jego uśmiech wyrażający szczere politowanie dla mej mentalności. Nie mam więc zamiaru dać się ośmieszyć nawet w oczach własnego męża. Ulica, to jest już mój własny, tajemny światek, pełen ludzkich, marionetkowych figurek, przeze mnie tylko dostrzegalnych i zrozumianych. Jego, jako człowieka zrównoważonego, te głupstwa nie interesują. Świat jego to praca i dom a w domu — ja i nasz mały Piotruś.

1 maja . . . . . .

Na moim codziennym szlaku zaszło nareszcie coś. Zjawił się człowiek nowy, po raz pierwszy przeze mnie widziany — nieznany. Jest jeszcze bezimienny. Kto on i czym jest — nie mogę na razie określić. Jest brunetem, dosyć wysokim i barczystym. Twarz ma pociągłą, gładko ogoloną, jest ubrany bardzo starannie. Całą charakterystykę jego osoby można od biedy zmieścić w jednym przymiotniku — przystojny. Jeśli mam być w opisie dokładna to uniknę porównania, że jest piękny jak Apollo. Posągowe piękności — nawiasem mówiąc — nie były nigdy przedmiotami mojego kultu. Powiem raczej, że ma w swej postaci coś diabolicznego jak faun i działa na zmysły jak Filip Piękny, o którym kroniki mówią, że był nie małym uwodzicielem skoro „tarzał się po żywym kobiercu utkanym z ciał najpiękniejszych kobiet Francji". Ale to wszystko w sumie nie znaczy kompletnie nic. Nic — wobec jednego. Że on ma oczy — smutne oczy gazeli.

Początkowo nie zwróciłam na niego specjalnej uwagi, bo i po co. Zdawało się mi, że to taki sam mężczyzna, jak inni — przeciętny. Aż dopiero dziś — właśnie dziś.

Spotkaliśmy się na wąskiej, wydeptanej ścieżynie plant, tak wąskiej, że trzeba było niemal wejść na siebie, aby nie podeptać świeżej wiosennej zieleni. On przystanął i ustąpił mi miejsca, abym mogła swobodnie przejść. Spodziewałam się, że tak niezwykła sytuacja, da mu okazję do zaczepienia mnie. Tymczasem nic podobnego nie nastąpiło. Wręcz przeciwnie. Dotknęło mnie do żywego jego zachowanie się. Przechodząc mimo, nie raczył powiedzieć słowa i ani nawet spojrzeć na mnie. Uchwyciłam jego wzrok utkwiony poprzez mnie gdzieś w dali i uczułam zbyt wyraźnie, że byłam dla niego w tej chwili przeźroczystą szybą albo powietrzem. Nie znaczyłam nic. I to ugodziło najboleśniej w moją dumę kobiecą, w mój majestat kobiety podobno pięknej. Minęliśmy się. A potem popełniłam śmiertelny grzech, grzech w moim własnym mniemaniu nie do odpuszczenia, ja dumna kobieta oglądnęłam się za nim . . .

8 maja . . . . . .

To jest jakiś gbur. Nic go nie obchodzę, kompletnie nic. Mija mnie codziennie, jak mija się przydrożny, bezwartościowy kamień. Tak cudacznie — drewnianego mężczyzny — dziwoląga nie spotkałam w swoim życiu jeszcze nigdy. Szkoda, wielka szkoda, że natura dała mu te przedziwnie urocze oczy. Jest bezsprzecznie przystojny, może nawet przystojniejszy od mojego Zbycha. To jest bardzo smutne.

Jak on zawadiacko nosi kapelusz. Z fantazją, na prawe ucho. W takim kapeluszu, z wygiętym do góry rondem, byłoby równie dobrze Zbychowi. Wstyd mnie, że na tę myśl nie wpadłam wcześniej. Przy okazji — może na imieniny — muszę kupić Zbychowi także krawat, taki sam — bordo — jaki ma on. Chociaż nie wiem czy z takim krawatem będzie mu do twarzy. Zbych jest blondynem o jasnych oczach i nie nosi ciemnych ubrań. W takim zestawieniu kolor bordo nie będzie harmonizować.

10 maja . . . . . .

To będzie chyba fryzjer. A może krawiec, kelner albo aktor, czy ja zresztą wiem? Głupia jestem, że się w ogóle jego osobą tak długo i niepotrzebnie zajmuję. Widocznie brak mi w życiu jeszcze poważnych zmartwień. Przecie to jest karygodne, abym ja młoda mężatka i matka ten głupi sport rozpoznawania ludzi nadal uprawiała i to w dodatku z nakładem energii bądź co bądź godnym lepszej sprawy. Jest to oczywisty nonsens. Ta zabawa nie doprowadzi do niczego dobrego. Muszę z nim natychmiast skończyć, muszę zejść mu z drogi.

13 maja . . . . . .

Próbowałam, lecz nie mogę. Tędy mam najbliżej do biura. I znowu wracam do jego osoby z uporem maniaka, znowu jak alkoholik do pełnego kieliszka. A może to już zaczęła się miłość? A może jakaś inna nieznana mi choroba. Nie. To niezawodnie moje chore nerwy.

Muszę jutro poprosić szefa o kilkudniowy urlop. Wyjadę na wieś, dobrze mi to zrobi.

15 maja . . . . . .

O urlop nie prosiłam, na wieś nie pojechałam. Nic to nie znaczy, że mam podkrążone oczy od nieprzespanych nocy, nic to, że jeść nie mogę. Dziś zakwitły bzy i dziś właśnie w dniu moich imienin spotkaliśmy się znowu na plantach.

Już z daleka zauważyłam jego sylwetkę i ten trochę dandysowski ruch z jakim wyjmował papierośnicę z bocznej kieszeni swej marynarki. Gdy nadchodziłam przystanął i zapalił papierosa z gestem dżentelmena.

W tej pozie był uwodzicielsko piękny. Zwolniłam kroku. On, paląc zmrużył oczy i przez wąskie szparki powiek nareszcie raczył łaskawie zauważyć moją mizerną osobę i spojrzeć wyraźnie w moje oczy. Nareszcie, ale tak, jak jakiś udzielny książę, gdy patrzy władczo i wyniośle w oczy swej niewolnicy. Nie wytrzymałam tego wzroku. Opuściłam powieki jak w hipnozie a przez ciało moje przebiegło mrowie dreszczów nieokreślonej natury. Dziwne uczucie trwało na szczęście ułamek sekundy i gdy podniosłam znów oczy, zdążyłam przykuć swój zwrok na moment do jego rąk. Tak białe, długie, wypielęgnowane dłonie mógł posiadać tylko artysta i to nieprzeciętnej miary. Tak, tak, niezawodnie. To jest artysta-muzyk. Jestem nareszcie u źródła tajemnicy.

18 maja . . . . . .

Marzę we śnie i śnię na jawie przy pracy i mój szef nie ma ze swej pracownicy żadnej pociechy. Nie jesem już żoną ani matką. Nie obchodzi mnie nic. Ani dom, ani mąż, ani własne dziecko. Idę do biura jak lunatyczka i wracam do domu jak urzeczona. Słyszę anielskie pienia, przecudne akordy i melodie podnoszące duszę do nieba. Muzyka w domu, muzyka w biurze, wszędzie muzyka. Orgia melodii w mej głowie. Pragnę słuchać tonów muzyki płynących spod jego palców, pragnę podziwiać i pieścić się czarem jego boskiego głosu. O jakże pragnę. Pragnę słuchać i marzyć. Śnić na jawie przy wtórze szopenowskich romansów i ballad i marzyć w nieskończoność przy dźwiękach jego sonat i księżycowych serenad. Nie wiem sama czy kocham muzykę czy jego. Czy może on, muzyka i śpiew — to jedno. Boże! Ja już oszalałam.

27 maja . . . . . .

Dźwignęłam się dopiero dziś z łóżka i nie czuję się nic lepiej. W oczach Zbyszka czytam przerażenie. Lekarstwa nie pomagają. Ale na to nie ma lekarstwa. Ja wiem.

31 maja . . . . . .

Znajduję się w stanie kompletnej apatii i fizycznego wyczerpania. Użyłam tego wyrażenia na określenie mojego stanu psychicznego, ale ono jest zbyt słabe, aby oddać bezmiar mojego cierpienia. Czuję, że w ciągu tych kilku dni przybyło mi lat wiele, i że te lata bardzo mi na moich barkach ciążą. Jedyną siłą, która trzyma mnie jeszcze przy życiu jest on.

2 czerwca . . . . . .

Stało się więc tak, jak stać się miało. Dzięki ci za to składam Boże, że położyłeś dziś kres mej męczarni i uratowałeś od zagłady nieszczęsną duszę moją.

Wybrałam się dziś do biura, niby do biura, a w gruncie rzeczy, aby go zobaczyć. Wyszłam z domu chwiejąc się jeszcze na nogach, jak pijana.

Spotkałam go na plantach o tej samej godzinie i w tym samym miejscu co zwykle. Lecz na jego widok siły mnie nagle opuściły i upadłam na kolana. Szybko przybiegł i podniósł mnie trzymając silnie w swych ramionach. Chciałam za pomoc podziękować, lecz głos mnie zawiódł. Resztkami mych sił potrafiłam zachować tyle przytomności, aby spojrzeć na jego oczy a potem na usta, które . . . które w paralitycznym skurczu otwierały się i zamykały wypuszczając z gardła świszczące powietrze i niezrozumiały bełkot zamiast oczekiwanego głosu. W głębi czaszki usłyszałam nagle szum, potem coś podobnego do bicia pogrzebowych dzwonów, poczułam w ustach słodkawy posmak krwi i . . . straciłam przytomność.

Obudziłam się w domu. Przy łóżku czuwał nasz stary lekarz, mój Piotruś i Zbych.

4 czerwca . . . . . .

Dziś jestem już zupenie zdrowa, ku niebywałej radości moich najbliższych i ku szczeremu zdumieniu lekarza, który twierdzi, że tak cudownych powrotów do zdrowia w ciągu swej długiej praktyki jeszcze nie widział.

Jutro znów wzejdzie słońce i pójdę znów do biura, ale już inną, zupełnie inną drogą.

KĄPIEL

Hej, rozradowany duch
Gorącym — słońcem,
Skacz w wody mroźny puch
Kpiąco — drżąco!
Tatrzański niech cię porwie prąd!
Duszę zachwytem oblodzi
I z mroku oswobodzi —
I zmyje z myśli twoich trąd.
Hej, w wody czysty zew
Z góry — chmury,
Po toń, po nową krew
Strumycznej wichury!

Mark

Znajoma z telefonu

Więc dziś miał ją Andrzej nareszcie poznać. Przez tyle tygodni rozmawiali ze sobą, nie znając się. Wiedział tylko o niej, że ma imię Lena, że ma czarne włosy, niebieskie jak niebo na Capri oczy i śliczny, czarujący głosik. I chyba to jeszcze, że jest młodziutka, że... Właściwie, to dużo wiedział z rozmów, jakie codziennie prowadzili.

A ona o nim? Tyle, co powiedział jej o sobie... Ale bardzo mało.

— Rozczaruje się. Rozczaruje się na pewno — myślał i wyraźnie odczuwał tremę.

Więc dziś miał ją Andrzej nareszcie poznać.

Sekretarka firmy, oficjalna sekretarka zgłaszająca się przez telefon na każdy dzwonek zawsze tym samym numerem, stukająca godzinami na maszynie i załatwiająca wszelkie urzędowe sprawy.

Andrzej też był urzędnikiem. Czy tylko? Dla niej — tylko urzędnikiem. Dla siebie czymś więcej — — —

Słońce złotymi plamami przylepiło się do murów kamienic, wiatr cicho szemrał wśród majowych listków drzew.

Andrzej spojrzał na zegarek. Za dziesięć minut trzecia. Ma jeszcze dziesięć minut czasu.

Przyśpieszył kroku. Zatrzymał się przy kiosku, kupił gazetę i pomaszerował dalej.

Jednak świat jest piękny. Warto żyć, gdy się ma dwadzieścia siedem lat i — — — przyszłość przed sobą. No tak, przyszłość, Urzędnikiem jest na razie, a potem ... potem ...

Wszedł do kawiarni.

— Pewno jeszcze jej nie będzie.

— Przy ostatnim stoliku po prawej stronie — przypomniał sobie jej słowa, gdy umawiali się na pierwsze spotkanie.

— Wolny. — Odetchnął z ulgą, bo obawiał się, że to miejsce może być zajęte.

Zamówił piwo. Rozłożył gazetę i próbował czytać, raz po raz zerkając w stronę drzwi.

— Będę miała we włosach fiołki.

Pozna ją na pewno.

Ciekawe, czy będzie punktualna. Bo właściwie kobiety nie grzeszą punktualnością. W miarę, jak wskazówka na zegarku zbliżała się do oznaczonej godziny, denerwował się coraz więcej ...

— A może nie przyjdzie wcale... Może tylko żartowała ze mnie? A ja głupi, myślałem, że ...

Ale w tej chwili otworzyły się drzwi i weszła — ona. Poznał ją od razu.

Wstał z krzesła i podszedł kilka kroków, aby się z nią przywitać.

— Zatorski.

— Wajdówna.

Uścisnął małą rączkę.

— Nareszcie się znamy, prawda?

Uśmiechnęła się.

— Przecie myśmy się znali już dawno. Tyle godzin spędziliśmy razem przez telefon. Jesteśmy starymi znajomymi.

I rozmawiali, jak naprawdę dwoje starych znajomych.

— Dobrze pani z tymi ciągłymi telefonami, maszyną do pisania i biurem ?

— Musi być dobrze — odpowiedziała. — Zresztą w biurze jestem tylko przez osiem godzin dziennie. To nie jest całe moje życie i to nie jest w ogóle „moje" życie. Mam inne, naprawdę „swoje". Pan zapewne też. W ogóle każdy człowiek pracujący ma dwa „życia". Jedno biurowe, drugie prywatne.

— Oczywiście w tym drugim życiu nie jestem urzędnikiem.

— Na pewno. Nie chcę być „po babsku" ciekawa, więc dlatego nie pytam, czym pan jest w swym nieurzędniczym życiu. Przede wszystkim na pewno martwi się, aby buty były całe, aby zjeść obiad, pójść do teatru...

— I zainteresowania ... — wtrącił.

— No tak, zainteresowania, oczywiście. Ja na przykład pasjami lubię teatr, kino ...

— Ja także. Czasami lubię posiedzieć w kawiarni ...

— Ja jestem jeszcze bardziej „współczesna", bo uwielbiam dancingi.

— Więc idziemy.

— Dzisiaj?

— Dzisiaj. Oczywiście, że dzisiaj. Nie lubię nigdy nic odkładać.

— Pewno! Tak najlepiej. Więc spotkamy się o ósmej wieczorem. Ale pod warunkiem, że o dziesiątej punktualnie skończy się nasze szaleństwo. Muszę potem coś jeszcze w domu zrobić ...

— Co?

— To moje „drugie życie" — uśmiechnęła się.

Z głośnika płynęła melodia walca.

— Więc idziemy!

— Idziemy!

Szli wolno ulicami miasta.

— Odprowadzę panią ...

— Może jednak dziś zrezygnujemy z dancingu ... Mam pilną pracę, na prawdę. Zato jutro na pewno!

Szkoda! Zatem wejdźmy do księgarni. Kupię jaką powieść, aby wieczorem poczytać trochę.

— To i ja kupię jaką nowość.

Weszli.

Przeglądali książki, które rozkładał przed nimi uprzejmy sprzedawca

— Lena Wajdówna — „Serca z papieru" — przeczytał. Spojrzał na nią.

— To pani pisała?

— Drugie życie, panie Andrzeju. Nie jestem przez dwadzieścia cztery godziny sekretarką, a tylko przez ośm na dobę.

— A pani jaką książkę kupuje.

— Nie tę — bo znam. Ale wezmę Andrzeja Zatorskiego „Ludzie z nikąd". Myślę, że będzie ciekawa.

— Jeżeli taka, jak ja — zażartował, — to obawiam się, że pani zaśnie przy niej.

— Na pewno nie.

— A może byśmy — — —

— Co ...?

— Kupili za dwa, trzy miesiące powieść spółki autorskiej Lena Wajdówna i Andrzej Zatorski?

— Spróbujemy!

— — — — — — — — — — — —

Po trzech miesiącach ukazała się na półkach księgarskich powieść ... Leny i Andrzeja Zatorskich p. t.: „Znajoma z telefonu".



ROZMAITOŚCI

MAJĄTEK ZDOBYTY NA ŁUPKACH Z ZIEMNIAKÓW

Pewien sklepikarz wpadł na pomysł sprzedawania klientkom już obranych ziemniaków. Wszystkie gospodynie były tym zachwycone i chętnie płaciły za tę wygodę kilka groszy więcej oszczędzając za to na czasie i unikając niemiłej roboty. W krótkim czasie otworzył kupiec filie i w innych dzielnicach miasta, zaliczając się wkrótce do najzamożniejszych kupców, którego majątek szacują ludzie na dwa miliony dolarów.

Z HISTORII STRAŻY POŻARNEJ

Na długo zanim większe miasta zaprowadziły dobrze zorganizowaną straż pożarną, mogła się chlubić Lizbona, stolica Portugalii, strażą pożarną, która budziła podziw turystów niezwykłą na owe czasy sprawnością. W owych czasach specjalni tragarze zaopatrywali ludność miasta w świeżą wodę, którą roznosili w beczkach na plecach. Praca tych nosiwodów była w ten sposób zorganizowaną, że ludzie ci podzielili między siebie poszczególne dzielnice miasta, które zaopatrywali w wodę. Władze miasta zobowiązały tych nosiwodów, aby co wieczór, każdy z nich napełniał swą beczkę wodą i zabierał ją do domu. Prócz tego każdy z tragarzy miał na zmianę dyżur nocny. Jeżeli w nocy wybuchł w mieście pożar, biegł dyżurujący przez ulice swej dzielnicy i budził innych nosiwodów, którzy z pełnymi już beczkami spieszyli na miejsce wypadku.

PRZYPADKI WZBOGACAJĄ NAUKĘ

Robotnicy budujący dom w pobliżu Roskilse (Dania) natrafili przy kopaniu fundamentów na szkielet ludzki znajdujący się w głębokości 3 m. Wiek tego szkieletu oceniają archeolodzy na 5000 lat. Znaleziony szkielet obudził zrozumiałe zainteresowanie w kołach naukowych.

*

Szwedzki uczony dr Werner Green odkrył nieznane dotychczas miasto Inkasów przy wykopaliskach przedsięwziętych w południowej części Peru. Okolica, w której znajdują się dobrze zachowane mury tego miasta i resztki domów znajduje się dokładnie na wysokości 3000 m nad poziomem morza.

TRAGEDIA DUMNEJ CZUBULKI

NOWELA I ILUSTRACJE — T. BOGUSZEWSKA

ło to mniej więcej gdzieś w pierwszej połowie maja. Flirty i głupwka dawno już wywietrzały jej łowy. „Życie to nie romans" — wenęła sentencjonalnie i — ko-ko — zaczęła rozglądać się za zacisznym ątkiem: należało przecież usłać azdo, znieść jajka i wyprowadzić świat Boży stadko pięknych jak , siemieniatych, czubatych kurczą-!

– Kur nigdy nie ma za wiele — goła się ze słusznym i pięknym zdam, które tak często słyszała z ust gospodyni Marcinowej! Zakątek odpowiedni znalazła bez kłopotu: w rogu warzywgo ogrodu krzak leszczyny przysiadł niziutko wśród poyw i łopianu, a szczątki zbutwiałych mat inspektowych, lające się tu gdzieś chyba jeszcze od zeszłego roku — dawały się świetnie na miękkie posłanie!

Już w pierwszych dniach czerwca kilkanaście ładnych łych jaj, radowało oczy siemieniatej kokoszy: rozsiadła ę na nich jak należy, — kwo-kwo — powtarzając sobie udów, ot! tak dla zabicia czasu.

Jest dobrze. Zielonawe światło przebija przez gąszcz lezynowych liści, wokoło w trawie śpiewają świerszcze — asem wrona zakracze lecąc w stronę parku, lub radośnie śmieje się kos albo wilga. Czubatka cieszy się w duchu figla, który wypłatała całemu podwórzu: pękną chyba wściekłości wszystkie inne kury — gdy za trzy niedziele ak gdyby nigdy nic" — przyjdzie sobie spokojnie, otoczona jem pięknych siemieniatych piskląt. Właściwie to nawet j honor i ambicja wymagają tego, aby pokazać „światu" zytaj: kumoszkom-kokoszkom) na co to ją stać! Przemóła się bowiem kilka razy, krytykując pisklęta innych: piórka, wzrost, czy wręcz wychowanie. Obgdakały ją zywiście babskim zwyczajem, wreszcie oświadczyły że to k przemawia przez nią głupia zazdrość, nic innego.



— Zazdrość! — odgdakała zacietrzewiona, — też miałaym wam czego zazdrościć! Stać mię na ładniejsze dzieci. dopiero wam pokażę jak powinny wyglądać prawdziwie ękne kurze pisklęta! Ko-ko-ko!!!

Siedziała więc tedy dzień cały, pełna jak najlepszych yśli, siedziała noc, nie drgnąwszy — oby tylko jaj nie ziębić... — Nie myślała ani o lisie, który łatwo mógł zyjść z wizytą z pobliskiego lasku, ani o słowikach, które gąszczach rozmigotanych czerwcowymi świetlikami urząały przecudne serenady. Trochę drzemała, trochę czuała — nad ranem uśmiechnęła się sennie do dalekich „kuryków" biegnących ku niej z kurnika — aż doczekała omiennego rana!

W tym drugim dniu, już mniej przejęta ważnością swojej li, rozglądnęła się uważnie wokoło: ponad nią — w rozidleniu wiotkich gałązek, jakieś maleńkie szare ptaszki łane miały gniazdko. Samiczka widać też wysiadywała sklęta, bo nie opuszczała wcale gniazda — ale kokosia uważyła ze zdziwieniem i zachwytem że samczyk, mały, ary ptaszek, co pewien czas nadlatywał, przynosząc żonie kiś smaczny kąsek na śniadanie. Westchnęła więc kurka chutko, żałośnie... bo teraz dopiero poczuła jak jest głodą, a bardziej jeszcze od głodu zaczynało dokuczać jej pragenie. Mała, szara sąsiadka z pierwszego piętra wysunęła ówkę z gniazdka i maleńkim dzióbkiem zbierała krople rosy leszczynowych liści. Próbowała więc pójść za jej przykłaem — nie na wiele się i przydało, to co mogło zadowolić aleńką ptaszynkę, nie mogło napoić dużej, dorodnej kury.

- Przemęczyła się jednak przez dzień, dziobnąwszy tylko asem jakąś ćmę oślepłą promieniami słońca, a wieczorem snęła, pełna pesymizmu i rozpaczy. Rankiem była tak słabiona, że nie miała już siły walczyć ze sobą: zeszła gniazda, odwiecznym instynktem wiedziona zagarnęła iółkę na jaja, aby utrzymać jak najdłużej w nich ciepło, cichaczem — milczkiem pomknęła w stronę rozwrzeszczaego podwórza.

Drób właśnie otrzymywał sute śniadanie: gosposia Marciowa z dużego przetaku sypała złote pszeniczne ziarna. woczka stanęła z boku cichutko i — byle jak najprędzej jak najwięcej naładować do pustego woła, — aż tu gosposia ostrzegła ją, stojącą tak na uboczu, i dalej w krzyk:

— Czubuchna! Kurusieńko, a kaj ześ sie to podziewała bez luśkie dwa dni? — Łapnęła kurę za ogon — i wydziwia:

- A wymizerniało mi to, a zbidniało, a wola to ani-ani! kradł cię kto, cy jak? Gadaj ze mi córuchna... — A kuysko tak jakoś przez roztargnięcie: — Kwo-kwo — odpoiada.

— A zbytnico! A figlarko! Taka toś ty? no, no, dobrze, obrze.

Wypuściła wreszcie Czubatkę ze swoich objęć, ale cały as śledziła ją podejrzliwie. Kurzyna jeszcze coś niecoś iobnęła — i w nogi! Rozglądając się wokoło czy kto nie edzi, dobrnęła szczęśliwie do gniazda, zasiadła zadowolona, dalej rozmyślać o przyszłych tryumfach! Zdrzemnęła się wet w końcu, gdy wtem — zieleń leszczynowego namiotu zgarnęły brutalnie czerwone, pulchne ręce gosposi Marnowej:

— A tuś mi! a tuś mi! — woła radośnie i już ściąga Czulkę z jej własnego gniazda. Nasrożyło się kurzysko, rąbło z i drugi gospodynię w rękę, ale ona ani tego nie czuje, zeciwnie — śmieje się tylko wesoło i dziewusze podręczj co z nią przyszła, dogaduje: — A wybies Maryśka wszyie jajka bo skoda; a to se uszperowała bestyjka, kto by się spodział!

Nie — nie sądźcie aby chciano Czubulce zrobić krzywdę — przeciwnie! Umieszczono ją w wygodnej komórce, chłodnej i ciemnawej — tuż obok postawiono miskę z wodą, a przy niej drugą z ziarnem. Gniazdo wymoszczone miękkim sianem wcale zapowiadało się wygodnie. Tylko — zrazu coś nie mogła usadowić się i objąć dokładnie skrzydłami wszystkich jajek, „urosły czy co?" — dziwiła się kwoczka, a przytym zmartwiło ją, że przez te wszystkie historie z przenosinami jajka zdaje się przeziębły...

Ale to nic, to nic! Przecież i tak jednak coś się wykłuje.

Spokojnie mijały dnie za dniami, jedne podobne do drugich. Codziennie o tej samej porze Marcinowa albo Marysia zaglądały do komórki, zmieniały wodę, dosypywały ziarna.

Minął tydzień — drugi, — trzeci! i nic...

Czubulka już trochę i lamentuje:

— Ani chybi, przeziębły mi jajka! Wiekować tak mi tu przyjdzie czy co!

Trochę już i troszczy się, trochę i pogdakuje — ale... przy końcu czwartego tygodnia coś się zaczyna ruszać pod matczynymi skrzydłami! Zaczynają drgać i pękać skorupki jaj — rozświergotane, piskliwe życie zaczyna upominać się o swoje prawa.

— Pisklątеczka! Kurczątеczka! Jesteście już! Jesteście.

Jeszcze szczelniej otula je skrzydłami, jeszcze troskliwiej przygarnia do mocno bijącego serca! Dopiero nad ranem rozchyla lekko piórka, żeby zobaczyć choć główkę — choć skrzydełko ślicznych, wytęsknionych dzieci: kurczątek — siemieniatek... a tu — przez okienko wśród matki piór, wychyla się główka... nie główka: łeb wielki, żółty z jeszcze większym szuflowatym dziobem! Okrągłe czarne oczka błyszczą w nim wesolutko, czupurnie!

— Nieszczęście!!! Cóż to za dziwo? — gdaknęła zrozpaczona kokosia... a nim się spostrzegła, już żółciutka figurka wymknęła się z miękkiego gniazda jak piskorz i dalej myszkować po kątach.

— Trzeba resztę oglądnąć — przecież chyba inne nie są takie pokraczne.

Uniosła się nad gniazdem i zdębiała: wśród pustych skorup roiło się od istotek żółtych, bliźniaczo podobnych do tej, która pierwsza rezolutnie puściła się w świat.

— Żeby choć dzióbki miały inne... żeby chociaż nóżek nie miały tak koślawych... Jakżeż tu pokazać się z takim potomstwem? Wydrwią, wyśmieją — zadziobią na śmierć kpinami... a co powie kogut-małżonek... Żeby to się była choć tak nie odgrażała, nie wydziwiała przed innemi...

Żałość czarna jak atrament, coraz bardziej zalewała serce zrozpaczonej kokoszki... bo i pomyśleć tylko: znosiła rzetelnie, solidnie jajka, siedziała tak wytrwale, wcale prawie nie schodząc z gniazda — za jakie więc winy (chyba za tę pychę...) pokarał ją los takimi nieprawdopodobnie brzydkimi dziećmi.

A „nieprawdopodobnie brzydkie dzieci" nie podzielały wcale rozpaczy swej rodzicielki: zadowolone ze siebie i z całego świata, jedno za drugim wymykały się z gniazda. Niezgrabne — bo niezgrabne, ale wesolutkie i zwinne jak iskierki, na króciutkich nóżkach dreptały wokoło — w szarym tle brudnej komórki żółcąc się radośnie jak złote, słoneczne promyczki!

Weszła Marcinowa, i aż wrzasnęła z zachwytu! (wiadomo — głupia baba na niczym się nie rozumie).

— Maryśka! Maryśka! a choć ino z koszykiem! — I dalej zabierać się do łapania złotego drobiazgu.

— Krr! co to — to nie! Jakim prawem rabujecie mi dzieci — jakie są, to są! a wam zaś do tego? moje, więc nie pozwolę ich sobie zabierać!!! — i chyc babom do ślepiów!

— Cubuchna! Cubuchna! A dyć cekaj psiajucho jedna — a to sierdzista! Insza kura jak się spostrzegnie, to jus z jajek za głowiny wybiera i zadziobuje na śmierć z wielkiej złości ze inse — a jej tak sie właśnie „udały"! Widzicie no widzicie jaka dobra kwocusia!

— Dobra — nie dobra, ino durna, bo pierwszy raz wysiaduje — odrzekła na to Marysia.

Zabrano więc całą rodzinę do dużej, słonecznej kuchni, nakarmiono jajkiem siekanym, napojono wodą. Kura pokrzepiona trochę na duchu zachwytami Marcinowej, zmartwiła się znowu, widząc jak bardzo nieposłuszne i niegrzeczne są jej małe pociechy. Nie mogła ich odgonić od miseczki z wodą — aż ochrypła od ciągłej perswazji: że to tak nie trzeba, że się zaziębią, że zmokną — że kto to widział? — Dopiero gdy już woda tak oblepiła złoty puszek wokoło śmiesznych figurek, że wyglądały jak „nieboskie stworzenia", zgodziły się łaskawie wsunąć pod opiekuńcze skrzydła Czubulki, i ogrzać w jej macierzyńskim cieple.

Jakżesz je kochała już wtedy! Jakżesz czuła się im potrzebną, niezastąpioną!

— Cóżby począł beze mnie, bez mojego rozsądku i troskliwości ten drobiazg głupiutki i lekkomyślny? a że brzydkie — cóż z tego? może właśnie wyrosną na gromadę silnych, zdrowych, wartościowych kur! O urodzie i tak mówić wiele nie można: z brzydkich dzieci wyrastają przecież często piękni ludzie, i naodwrót!

Za dwa dni, w samo południe, pozwolono Czubulce wyprowadzić swoją gromadkę na podwórze. Mimo wszystko poczuła się jakoś „nie swojo". Niby nie żeby się bała — ale ogarnęła ją lekka trema — ot, zwyczajnie: nerwy! Ale miała i rację: najadła bo się wstydu, najadła! Całe podwórze pokładało się ze śmiechu na widok żółtych, niezgrabnych pokraczek. Obskoczyły ją kokosie — kumosie dookoła i dalej dogryzać, dogadywać:

— Ko! ko! pokazałaś całemu światu na jakie ciebie stać dzieci!

— Ko! ko! daleko musiałaś chyba szukać, aby takie cudeńka wydybać!

— Ko! ko! a ładne to, a zgrabniusie, szkoda mówić!

A co tam sobie dogadywały i plotkowały w sekrecie, tego nikt nie zliczy, raz za razem złośliwe chichoty dolatywały do czerwonych ze wstydu uszu Czubulki. Wreszcie i kogut-małżonek zainteresował się całą sprawą: podszedł do kwoczki bez jednego słowa powitania, zmrużonymi złośliwie oczyma popatrzył na mały drobiazg, pokraśniał na gębie, grzebieniu i faworytach z wściekłości jak piwonia i zakruczał ponuro:



— Krr! to tak! może jeszcze zechcesz mi je wmówić?

Och! wolałaby się była pod ziemię zapaść, a nie doczekać takiej hańby! Spuściła głowinę nisko, łzy dusiły ją w gardle.

Nie znajdując innej rady — nic tylko pod siebie dziobem zagarnia wesolutkie swoje pisklęta: niechno tak w oczy nie kłują, ten zły, złośliwy świat... Ale daremny trud: co jedno pod skrzydła wsunie, to trzy się wymykają! Wreszcie wszystkie uciekły — dokąd? łatwo zgadnąć! Do korytka z wodą.

Pobiegła więc za nimi — zaaferowana, kwokająca i znowu musiała się nasłuchać złośliwych docinek, kpin i śmieszków:

— Bo cóż też to za nowy zwyczaj chowania piskląt we wodzie! Nawet głupie wróble rozumieją, że należy się paprać w kurzu i piasku, a unikać wilgoci!

Trudno! trudno! Cóż na to poradzi — dobrze chociaż, że daje się ogrzać i osuszyć po kąpieli...

Wieczorem, gdy już wszystkie kurczęta garnęły się pod skrzydła matek, gdy starsze kury, znużone i senne poziewały dyskretnie, kierując się w stronę kurnika — Czubulka przechodziła męczarnie: w żaden sposób nie mogła namówić drogie swoje maleństwa do udania się na wieczorny spoczynek. Biegała za nimi — zagarniała je pod siebie, kwokając coraz rozpaczliwiej — gdzież tam! Zabawiały się właśnie najlepiej na skrawkach podwórzowego trawnika, wyłapując zwinnie maleńkie ćmy, muszki i komary.

Z dumnej, gadatliwej, najpiękniejszej kokoszki — nielortunne macierzyństwo zrobiło podwórzowego kopciuszka... Pokorna i cichutka — pragnęła jak najmniej zwracać uwagi swoją osobą — czasem tylko, gdy ze strony podwórzowego drobiu jakieś niebezpieczeństwo groziło jej dzieciom — rzucała się jak furia na wroga, i chętnie dałaby się rozszarpać — byle tylko obronić ukochane maleństwa.

A ukochane „maleństwa" wcale na nazwę maleństw już nie zasługiwały: rosły z dniem każdym tak zadziwiająco, że już i kurki podwórzowe zaczynały im schodzić z drogi. Nie one za matką — tak jak normalnie bywa z innymi kurczętami, ale odwrotnie: matka za nimi przez cały dzień uganiała się po podwórku, kwocząc i zwołując je na próżno...

Dziwne to były dzieci: żadna z kur podobnych do nich nie widziała! Nawyczki ich z dniem każdym stawały się coraz niemożliwsze: najchętniej wymykały się z podwórka, i wędrowały na podmokłą łąkę, pełną żab, kałużnic i ślimaków.



A co w tym dziwniejsze — że Marcinowa nie lubiąca na ogół tzw. „włóków" — przyklaskiwała tym ich wycieczkom, nie mogąc się nadziwić sprytowi ich i odwadze, naśmiewała się tylko z Czubulki, która zawsze z takiej wyprawy wracała zziajana, uszargana do połowy brzucha i ledwo żywa:

— A zuć jus te konie! dyć widzis, że nic im po tobie! Pląces sie ino psy nich kiej to piąte koło u woza!!!

Na nic zda się perswazja, na nic zdrowy rozsądek: Czubulka jest matką — i musi się opiekować swoimi dziećmi!

Któregoś jednak dnia nowa sensacja: Marcinowa z Czubulką pod pachą, z kawałkiem szpagatu w garści, przyszła na podwórze, i do płotu przywiązała za nogę biedne kwoczysko. Kury znowu wydziwiają:

— Ko-ko! ani chybi a pewnie coś zbroiła nowego razem ze swoją bandą! Ale na nasze pisklęta to umiała nosem kręcić — żadna z nas, chwalić Boga, na sznurku jeszcze nie stała!!!

Czubulka nieszczęśliwa, zmaltretowana, główkę spuszcza i milczy — ale Marcinowa do milczenia nie jest taka skora i dokładnie opowiedziała mi jak to było:

— Mówie pani, ze ta kura to ze wszystkim świrkowata — „one" na rzeczke i buch w wode — a ona gwałt: i kwocy i wrzescy i kodkodacy — a coraz to dalej we wode lezie! A tu prąd ją porwał i niesie wywracając tędy — owendy. Scęnściem mój Waluś psechodził (bo sedł po wikline) — tak duchem podkasał porcienta i wyciągnął kurzyne z topieli. Przywiązałam ją na śpagacie: posiedzi tak dwa do trzech dni to i odwyknie, przestanie za „nimi" tak furt uganiać. Bogu dziękować pięćdziesiąt dwa lata jus zdrowo zyje, alem takiej głupiej kury jesce nie widziała!

— — — — — — — — — —

Oj! Marcinowo! Marcinowo! takiej drugiej głupiej kury zakochanej w swoich dzieciach jak Czubulka — możliwe żeście nie widzieli, ale i z was to też chytreńka kobiecina! Bo któżto widział okradać poczciwe kurzysko z jej własnych jajek, dlatego tylko, że właśnie gospodyni księdza proboszcza przysłała wam w prezencie dwanaście pięknych jaj od swoich olbrzymich kaczek-pekingów!

W ten sposób się nie robi... to brzydko...

PAN I PAROBEK

HENDRIK BOREL

Sumana był potężnym, bogatym mężem i co tylko zapragnął mógł kupić za pieniądze: piękne niewolnice, złoto, klejnoty, ambrę, drzewo sandałowe, jedwab, brokaty, konie i wozy, i wyszukane potrawy. Posiadał dobra i pałace, okręty i piękne ogrody, słowem wszystkiego bez liku. Co tylko było wartościowego na świecie, mógł zdobyć za pieniądze.

Pewnego dnia, gdy jeden z jego parobków imieniem Annabhara żął trawę, poprosił go o trochę jedzenia mnich-jałmużnik trzymając miskę w ręce. Annabhara odłożył natychmiast swój tłumoczek i sierp i pobiegł do swej biednej bambusowej chaty, aby dać mnichowi porcję ryżu, którą otrzymywał codziennie od swego pana. Wiedział przy tym, że przez resztę dnia będzie cierpiał głód.

Mnich spożył ryż i w nagrodę powiedział kilka słów z nauki Buddy do parobka, które rozjaśniły mroki w jego prostaczej duszy. Następnie wzniósł święty zakonnik ręce nad głową biednego człowieka i udzielił mu błogosławieństwa Buddy.

Córka Sumana przypatrywała się ze swego okna temu zdarzeniu i zawołała zdziwiona:

— Dobrześ uczynił Annabhara, dobrześ uczynił!

Sumana, który słyszał głos swej córki, zapytał o co chodzi, i córka opowiedziała mu wszystko, co widziała, dodając:

— Ten mnich jest z pewnością bardzo świątobliwym mężem, gdyż udzielając błogosławieńswa Annabharze miał nad głową cudowną jasność.

Wtedy udał się spiesznie Sumana do swego parobka i ofiarował mu dziesięć rupji jeżeli mu da część z otrzymanego błogosławieństwa.

— Pozwól mi najprzód zapytać się świętego męża — odpowiedział Annabhara. — Dopiero co poszedł, może go jeszcze dogonię.

Biegnąc szybko, spotkał zakonnika.

— Mój pan prosił mnie — powiedział — abym mu udzielił części otrzymanego błogosławieństwa. Czy pozwalasz mi to uczynić?

Wtedy dał mnich taką odpowiedź:

— W pewnej wsi o stu chatach paliło się tylko jedno światło. I przyszedł sąsiad z drugiego domu i zapalił swoją lampę przy tym świetle. Od swojej lampy pozwolił innemu zapalić lampę i tak poszło dalej, aż we wszystkich stu domach zabłysło światło. I przez to nie utraciła światła pierwsza lampa, a także i druga i trzecia i żadna z tej setki lamp nie miała ani więcej ani mniej światła od innych. Także światło nauki Buddy, której na imię miłość, można rozdzielać bez szwanku dla dającej osoby. Otrzymane błogosławieństwo za twój ryż rozdzielaj chętnie innym bez obawy poniesienia straty.

Annabhara powrócił do pana i powiedział:

— Udzielę panu części błogosławieństwa, które mi dał zakonnik. Proszę przyjąć ten dar od biednego parobka.

Wtedy Sumana nie dziesięć rupij, ale złoty talar wyjął ze swej sakiewki mający 100 rupij, aby tylko nie otrzymać czegoś za darmo. Ale Annabhara powiedział:

— Nie tak, panie! Gdybym przyjął ten złoty talar, wyglądałoby to tak, jakbym sprzedał część błogosławieństwa, a tymczasem nie można sprzedawać i kupować błogosławieństwa, które jest miłością.

Władca jego stał przez chwilę zdziwiony, następnie począł się śmiać lekceważąco i wyjął jeszcze dziewięć innych talarów ze swej sakiewki.

— Wszystko na świecie można kupić — powiedział Sumana szyderczo, — nie otrzymałem jeszcze nic w życiu, bez zapłaty. Chcę ci dać dziesięć złotych talarów za część błogosławieństwa. Czy to jeszcze mało? . . . A więc dwadzieścia talarów? Pięćdziesiąt... sto . . . pięćset . . . tysiąc?

Ale Annabhara niewolnik potrząsnął przecząco głową i powiedział:

— Darujcie mi, panie, jeżeli wam odmówię, ale wasze wszystkie skarby razem wzięte, nie zapłacą błogosławieństwa, które jest miłością. Pan musi przyjąć błogosławieństwo jako dar, inaczej nie mogę go udzielić, nawet za cenę wszystkich waszych bogactw i za cenę waszej pięknej córki.

I oto Sumana spostrzega inny świat, w którym nie ma nic z jego świata. Oto pierwszy raz w swym życiu widzi, że jest coś, czego nie może kupić za pieniądze, nawet od swego najbiedniejszego sługi.

A gdy spojrzał w poważną twarz Annabhary, na której jaśniał jeszcze blask otrzymanego od mnicha błogosławieństwa, padła nagle na jego duszę iskierka tego światła. Otworzył ramiona i powiedział:

— Udziel mi swego błogosławieństwa, które jest najkosztowniejsze na niebie i na ziemi i chodź do mego domu, abyś w nim zamieszkał. Nadal bowiem nie będziesz moim parobkiem, lecz przyjacielem i bratem . . .

Tłum. A. G.

JEŻELI

Jeżeli kiedy zagubisz swe serce
W zgiełku i ruchu miastowym,
Wyjdź poza miasto na pola,
Idź, gdzie czernieją dąbrowy.

Siądź chwilę ponad szemrzącym strumieniem,
Wsłuchuj się w szmery z uwagą,
Poszumów słuchaj wierzbiny,
Co ponad wody się kładą.

Wtedy zrozumiesz, gdzie w życiu błądziłeś,
Dlaczego żyłeś w rozterce,
Szlachetne obudzisz uczucia,
Wtedy odnajdziesz swe serce.

E. Gilewski

WSTAŁ LEWĄ NOGĄ

Co jakiś czas rozlegał się ostry, denerwujący dźwięk dzwonka. Całe biuro truchlało. Po każdym dzwonku woźny wzywał tę i ową urzędniczkę lub urzędnika. Każdy szedł do gabinetu naczelnika jak na ścięcie. Każdy wracał blady, roztrzęsiony . . .

Nic nie podobało się zwierzchnikowi. Wszystko było źle i niedbale wykonane.

Panowie klęli na czym świat stoi i palili papierosy w potrójnej ilości, panie popłakiwały.

— Wstał lewą nogą — zawyrokowała pani Julia, najstarsza w biurze urzędniczka.

— Niemądry przesąd — rzucił uwagę pan Eustachy.

— Przesąd? — dowodziła tamta, a ja panu powiem, że to święta prawda. Dwa lata temu, kiedy tu jeszcze pan nie pracował, taki sam sceptyk jak pan, w taki sam dzień jak dziś wszedł wezwany do gabinetu naczelnika i wyszedł z dymisją. Co to była za burza? Nawymyślali sobie wzajemnie . . . Pamiętam, naczelnik wpadł aż tu do biura za nim, tak się zaperzył . . .

— Co za pamięć u pani niezwykła . . .

— No, bo tego wydarzenia nigdy nie zapomnę. Naczelnik wpadł w samych skarpetkach. W dodatku uderzył się nogą o moje krzesło. Syczał z bólu jak żmija. „Moje odciski, moje odciski!" — wykrzykiwał. Za parę minut dymisja była gotowa . . .

W tej chwili ostry dźwięk dzwonka przeszył znowu powietrze. Wszyscy zamilkli. Kolej na nową ofiarę. Woźny zniknął w gabinecie. Po chwili wrócił, podszedł do filuternej panny Ziuty i rzekł przytłumionym głosem:

— Niech pani gotuje się na śmierć . . . na panią kolej . . .

Panna Ziuta przeżegnała się, potrząsnęła zondulowaną starannie czupryną i wkrótce zniknęła w czeluściach gabinetu.

Cisza jak makiem zasiał . . . Upływały sekundy, minuty długie, coraz dłuższe . . .

Kiedy po pięciu minutach wróciła panna Ziuta rozpromieniona i roześmiana, wszyscy obskoczyli ją zwartym kołem:

— I co? i co?

— Ano nic. Stanęłam jak trusia za plecami naczelnika, odmawiając nowennę do św. Antoniego. Podałam mu moją robotę. Czytał. A ja zerk okiem pod biurko. Był w skarpetkach. Mój papa także cierpi na odciski. To ja już wiem. Pierwsza rzecz to pantofle. Więc i ja rozglądam się mimo woli za pantoflami. Szukam, wypatruję po całym gabinecie . . . no i św. Antoni pomógł . . . z szafy na górze wyglądały nosy pantofli! Ten niedorajda woźny sprzątając — tam widocznie je postawił i zapomniał . . .

— I co? i co?

— Pomaszerowałam prosto do szafy, zdjęłam pantofle i zameldowałam: „Panie naczelniku, pantofle się znalazły!" — A „pani skąd do tego? — roześmiał się. — A bo ja zawsze ojcu najszybciej umiem wyszukać pantofle — wyjaśniłam mu swą intencję.

— I co? i co?

— Naczelnik uśmiechnął się, odetchnął głęboko i rzekł do mnie: Bo widzi pani, bez pantofli jest człowiek jak bez głowy. Przed dwoma laty urządził mi woźny taką samą hecę. A to kosztowało dymisję czupurnego urzędnika, który mi nawymyślał . . .

— Mają panie legendę o lewej nodze! — dodała Ziuta triumfującym głosem — szło zawsze o to, co najważniejsze . . . dla kogo . . .

W.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau. Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 353-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 220-61 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

KĄCIK SZACHOWY NR 16

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

GAMBIT CENTRALNY W OBRONIE

Schemat otwarcia

Ruchy zasadnicze otwarcia:
1. e2—e4 e7—e5 2. Sg1—f3 d7—d5
Wariant I. 3. Sf3×e5 (rozpada się na obronę A, B, C)
Obrona A: 3 . . . Gf8—d6
Obrona B: 3 . . . d5×e4 (rozpada się na subwariant I, II, III)
Subwariant I: 4. Gf1—c4 Hd8—g5! 5. Se5—f7?
Subwariant II: 4. detto 5. Gc4×f7+
Subwariant III: 4. detto 5. d2—d4
Obrona C: 3 . . . Hd8—e7
Wariant II. 3. e4×d5 (rozpada się na obronę A, B, C)
Obrona A: 3 . . . Hd8×d5
Obrona B: 3 . . . Gf8—d6
Obrona C: 3 . . . e5—e4 (rozpada się na subwariant I, II, III, IV)
Subwariant I: 4. Hd1—e2 Hd8—e7
Subwariant II: 4. detto Gf8—e7
Subwariant III: 4. detto Sg8—f6
(rozpada się na kontynuowania 1, 2, 3)
Kontynuowanie 1: 5. Sg1—f3
Kontynuowanie 2: 5. He2—b5+
Kontynuowanie 3: 5. d2—d3
Subwariant IV: 4. Hd1—e2 f7—f5

Wariant I, obrona A.

1. e2—e4 e7—e5	10. Sb1—c3 Wa8—d8
2. Sg1—f3 d7—d5	11. d4—d5 Sc6—e5
3. Sf3×e5 Gf8—d6	12. 0—0 h7—h6
4. d2—d4 d5×e4	13. Hd1—c2 Gf5—g6
5. Se5—c4 Sg8—f6	14. g2—g3 Hd8—d7
6. Gf1—e2 0—0	15. Kg1—g2 Gg6—f5
7. Sc4×d6 Hd8×d6	16 Wf1—d1 Se5—f3!
8. c2—c4 Sb8—c6	17. He2—a4 Gf5—h3+
9. Gc1—e3 Gc8—f5	Z przewagą czarnych

Lob—Eliskases, p. korespond. 1932

Wariant I, obrona B, subwariant II.

1. e2—e4 e7—e5	10. Hd1—d2 Sd7—b6
2. Sg1—f3 d7—d5	11. Gc4—e2 Sb6—d5
3. Sf3×e5 d5×e4	12. Sb1—c3 Gh3—e6[5])
4. Gf1—c4[1]) Hd8—g5	13. Sc3×d5 Sf6×d5
5. Gc4×f7[2]) Ke8—e7	14. 0—0—0 Hg2—h3
6. d2—d4[3]) Hg5×g2	15. Gf4—g5+ Ke7—e8
7. Wh1—f1 Gc8—h3	16. c2—c4 Sd5—f6
8. Gf7—c4 Sg8—f6	17. d4—d5 Ge6—d7
9. Gc1—f4[4]) Sb8—d7	18. Hd2—d4! Z przewaga białych

Lob—Eliskases, t. koresp. Wiener Schachztg. 1932.

[1]) Według Bilguera do wyrównania gry prowadzi: 4. d4! G—e6 5. G—c4 G×c4 6. S×c4 S—f6 6. 0—0.

[2]) Subwariant I: **5. S—f7? H×g2 6. W—f1 G—g4 7. f3 G×f3 8. W—f2 (8. W×f3 e×f3 9. S×h8 f2) 8 . . . H—g1+ 9. W—f1 H—g4 10. G—e2 H—h4 11. W—f2 G—c5 12. d4** e×d3 prowadzi do przewagi czarnych.

Subwariant III: 5. d4 H×g2 6. W—f1 G—e6 7. d5 (7. G×e6 f×e6 8. H—g4! H×g4 9. S×g4 S—c6 10. G—e3 S—f6! z przewagą czarnych, lub: 7. G×e6 f×e6 8. d5 S—d7! 9. S×d7 K×d7 10. d×e6+ K×e6 także) 7 . . . G—h3 8. d6 G×d6 9. S×f7 S—c6 10. S×h8 (10. S×d6+ c×d6 11. H×d6 W—d8 12. H—c7 [12. H—c5 f4 lub 12. H—a3 S—d4] 12 . . . W—d7 13. H—c8 K—e7!) 10 . . . Sc6—e5 11. H—e2 (albo 11. G×f7+ K—f8 12. S—d2 S—f3+ lub 11. G—e2 S—f3+) 11 . . . S×c4 12. H×c4 H×f1 13. H×f1 14. K×f1 S—f6 15. G—g5 K—e7 16. S—c3 W×h8 17. S×e4 G×h2 z przewagą czarnych.

[3]) Bilguer podaje wariant: 6. G×g8 W×g8 9. d4 H×g2 8. W—f1 G—h3 9. Sb—d2 Sb—d7 z uwagą: czarne mają lepszą grę, zabezpieczą swego króla na c8, natomiast białe nie mogą się rozwinąć dostatecznie, gdyż Wf1 jest stale zagrożoną, natomiast 9 . . . g6? (zamiast Sb—d7) byłoby ryzykownym z powodu 10. H—e2 G—h6 11. H—c4.

A propos ruchu w tekście (6. d4) wydaje Bilguer następujący sąd: także przy 6. d4 H×g2 7. W—f1 G—h3 8. G—c4 S—f6 po czym Sb—d7 zasługuje gra czarnych na wyróżnienie. Białe nie mogą ruszyć Sf7 (9. S—17 b5!), dopóki biała wieża f1 nie będzie jeszcze raz broniona, jeśli jednak białe bronią wieży f1 (po 6. d4! H×g2 7. W—f1 G—h3) 8. Sb—d2, wówczas grają czarne g6, po czym G—g7 lub G—h6. Zresztą mogą białe łatwo stracić jakość po H×h2. **Przebieg partii podanej jako subwariant II obrony B dowodzi, że ocena Bilguera była fałszywa.**

Całkiem błędnym byłoby: 6. H—h5+? z powodu H×g2 7. W—f1 S—f6 8. H—h4 G—h3 9. G—c4 g5 itd.

[4]) 9. S—f7?? b5!

[5]) W partii koresp. Feilitsch—Keres z r. 1936 grano: **12 . . . S×f4 13. H×f4 G—e6 14. h4 (14. 0—0—0? g5!) Wh—g8 15. S—c4 K—d8 16. 0—0—0 G×c4 G—d6 18. H—g5** (białe grożą H—b5, w razie wymiany H czarne tracą jakość) **H—f3 19. H—b5 c6 20. H×b7 Wa—b8 21. H×a7 Wg—e8 22. d5!** (22. H×g7? W—e7! 23. H—f8 K—d7! i czarny H musi zginąć z powodu gróźb G—f4, po czym H×c3, albo 23. H—g1 lub inaczej G—f4, po czym H×c3) c5 (22 . . . G—f4+ 23. K—b1 H×c3 24. H×b8+ wygr.) **23. S—b5 Sf—d7 24. H—a6** (24. S×d6 H—f4+) **W—b6 25. H—a5 K—e7** (białe mają 2 piony więcej, lecz atak przechodzi stopniowo do rąk czarnych) **26. S×d6 K×d6 27. G—b5 We—b8 28. a4 S—e5) 29. H—e1** (DSchachztg. powiada: atak czarnych zaczyna się dawać we znaki, jeżeli 29. H—d2 to S—c4 30. G×c4 H—a3!, lecz co nastąpi po 31. H—c3!!!? (przypisek Kącika szachowego), lub 29. H—g5 S×b2 31. K×b2 W×b5 32. a×b5 W×b5 tu następuje uwaga DSchachztg., że czarne powinny wygrać.

II. CZĘŚĆ OGÓLNA

Studium Nr. 7.

H. Rinck (BChM 1934).
Czarne: Kg8, Gf7, pion: h2 (3).
Białe: Kh6, Wf5, Sf4 (3).
Białe zaczynają i remisują.

Rozwiązanie problemu Nr. 6 (3-chod. Hladika):

1. G—e8 (groźba 2. S—h6+ K×g5 3. H—d2 mat).
I . . . K×f5 2. H—d5+ K—g4 3. G—h5×
II . . . f×g5 2. H—e2+ K×f5 3. W—f1×
III . . . G×f5 2. G—h5+ K×g5 3. H—d2×
IV . . . K×g5 2. K×g3 (lub f3) i 3.×

Partia Nr 20

Białe: X. Y. — Czarne: N. N.

Gambit duński.

1. e2—e4 e7—e5	7. Sg1—e2 Sf6×e4
2. d2—d4 e5×d4	8. 0—0 Se4×c3
3. c2—c3 d4×c3	9. Se2×c3 Gb4×c3
4. Gf1—c4 c3×b2	10. Gb2×c3 0—0
5. Gc1×b2 Gf8—b4+	11. Hd1—g4 g7—g6
6. Sb1—c3 Sg8—f6	12. Hg4—d4 i białe matują w dwóch ruchach.

Partia Nr 21

Białe: Dr E. Földessy — Czarne: Dr G. Negyessy

grana w turn. w Budapeszcie w r. 1929.

Gambit hetmana.

1. d2—d4 d7—d5	7. e2—e4 d5×e4? 1)
2. Sg1—f3 Sg8—f6	8. Gf1—c4 Hd8—e7
3. c2—c4 e7—e6	9. Sf3—g5 Sf6—d5? 2)
4. Sb1—c3 Sb8—d7	10. Gc4×d5 c6×d5
5. c4×d5 e6×d5	11. Sc3×d5 He7—d8
6. Hd1—b3 c7—c6	12. Sd5—c7 Czarne poddały się.

1) 7 . . . S×e4! 8. S×e4 H—e7 9. G—g5 f6+
2) 9 . . . S—b6!

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

W czasie przerwy w tańcu na balu zwraca się jeden młodzian do drugiego:
— Janek, spójrzno tam w kąt sali! Ta dama, co tam siedzi byłaby ci pysznym modelem dla malarza!
— Nie pleć! Taka szkarada.
— Ale już dwie godziny siedzi bez najmniejszego ruchu.

*

Pani Genowefa wpada z córką do znajomego aptekarza:
— Panie aptekarzu . . . daj nam pan co na apetyt!
— O! . . . panie chore? . . .
— Nie . . . ale zaproszone jesteśmy na przyjęcie do znajomych.

*

— Dlaczego tak nisko kłaniasz się temu panu?
— Widzisz dlatego, że ciotkę moją, po której będę dziedziczył zostawił starą panną.

*

Krawiec: — Już czas, abyś pan zapłacił rachunek. Ja dłużej nie mogę latać taki kawał drogi do pana.
Klient: — Uspokój się pan. Za tydzień przenoszę się w sąsiedztwo pana. Będziesz miał blisko.

*

— Zdaje mi się, że Henryk już niedługo oświadczy się o moją rękę.
— Czy okazuje ci coraz więcej miłości?
— To nie, ale — z coraz większą niechęcią zaczyna patrzeć na moją matkę.

*

— Wszak przyjdziesz pan dziś wieczorem na raut. Początek o 8-mej. W programie deklamacja, śpiew, gra na fortepianie, a o 10-tej kolacja.
— Z miłą chęcią, więc przyjdę o dziesiątej punktualnie.

*

— Przed ślubem zawsze mówiłeś, że nie możesz żyć beze mnie.
— Bo widzisz mężczyzna nigdy nie wie co potrafi, aż się przekona.

*

Nowy lokator: — Czy to mieszkanie jest pewne, bo posiadam wiele kosztowności.
Gospodyni: — Może pan być spokojny. Mój mąż znajduje się pod dozorem policji.

W SZUWARACH WŚRÓD ŻAB
— A wystrzegaj się bociana, moja córuchno!
— Ależ mamciu... Koralle

— To okropne! Zośka powiedziała mi wczoraj, że jestem impertynencką i głupią kobietą bez serca.
— Nie może być! Skądże cię ona zna tak dobrze?!

*

Profesor: — Proszę mi powiedzieć, co oznacza to wyrażenie z mitologii: „Męka Tantala"?
Student: — Jak pan profesor może się jeszcze o to pytać, egzaminując mnie już prawie pół godziny bez przerwy?!

*

— Mężulku zapomniałeś zupełnie, że to dziś nasza rocznica ślubu.
— Szczęśliwy, kto zapomni o tym, co się odstać nie może!

*

Ona: — I pana to zadziwia, że ja piszę wiersze?
On: — Nic podobnego. Ot gdybym panią zastał przy gotowaniu obiadu, to bym się dopiero zdziwił!

*

Żona: — Doktór powiada, że moja choroba pochodzi z przepracowania.
Mąż: — Uważałem to. Kazał ci pokazać język.

*

— Wiesz tatku jaki nasz nauczyciel dobry. Kilka dni temu przyrzekł nam, że jak się będziemy dobrze uczyli, to nam sprawi wielką przyjemność.
— No i cóż?
— A no wczoraj zachorował.

*

— Czego ten mały Mundziu tak głośno krzyczy?
— Bez przyczyny. Wsadziliśmy mu tylko mamusiną szczękę do buzi, bo nie ma biedaczek zębów.

*

— Za dziesięć wizyt należy mi się 800 złotych honorarium.
— Mógłbyś doktorze opuścić połowę przez wdzięczność.
— A cóż ja mam panu do zawdzięczenia?
— Przecież to ja pierwszy przywiozłem do waszego miasteczka tyfus.

— Czy mogę dostać „Pierwszy pocałunek" Sibeliusa?
— Oczywiście — ale czy koniecznie musi on być od Sibeliusa?
Die Woche

— Panie Markowicz nie chcę już więcej pana widzieć, no... i dlaczego pan jeszcze nie poszedł!? Rys: Myr.

— Jak mogłeś się z nią zaręczyć! Nie jest przecież ani piękną, ani bogatą!
Ale posiada sklep z papierosami! Die Grüne Post

KĄCIK KARYKATURZYSTY

W REDAKCJI
— Wysłałem 12 listów z fotografiami na ogłoszenia matrymonialne i nie otrzymałem ani jednej odpowiedzi.
— Szkoda, że załączał pan fotografie. Rys: Czecha — Kraków

PO SZCZEBLACH DO WDZIĘKU



Dzień ponad drzewa rzucił słońca dyskiem, w zieleń się zaklął czar młodego lata. Niebo jest takie błękitne i bliskie, że chce się w górę! jak na skrzydłach ptaka. Powietrze ciepłym owija mnie szalem! Wyprężam wolne ciało — akrobacją, a owym bujnym na swobodzie szałem, w radość mnie własne mięśnie przeinaczą. Wyżej! I wyżej! Zaraz stopą strącę, w glazurę nieba wmalowane prawie, cudne, zuchwałe, niedosiężne słońce — że tuż koło mnie padnie na murawę . . .

— — — — — — — — —



Drabina — swobód wierna towarzyszka — strzela nad drzewa stopniowanym pionem. Więc schylam tułów, a nogą w przód ciskam i własne zdrowie pozdrawiam ukłonem, i hołd poddańczy składam swej zręczności... jedwabiem włosów muskam skóry miękkość! Pewnie myślicie, że ja nie mam k o ś c i? M a m! — tylko jestem odważną i g i ę t k ą.

Mnożę te skarby każdym mięśni trudem, a z ciałem — duszę hartuję na zawsze! Wykuwam w słońcu wymarzony cud ten: zdrowie i młodość, z darów — najłaskawsze!!

— — — — — — — — — — —

Czy znacie może zabawę w przekorę? leżeć w dół głową . . . w stopy słońce schować . . . Zawroty? Zamęt? Cóż znowu . . . Pozory! Haustami trzeba wypić wino zdrowia! A więc się śmieję i gwiżdżę, jak chłopak!! Gdy nie wierzycie — popróbujcie sami, jak miło świat jest przekręcić na opak: ziemia — pod głową, niebo — nad nogami. I wszystko w sobie napajam swobodą, co ludzi zmienia w drzewa albo orły . . . co daje szczęście olbrzymie i młode . . . a trudy dzienne obraca w popioły.

— — — — — — — — — — —

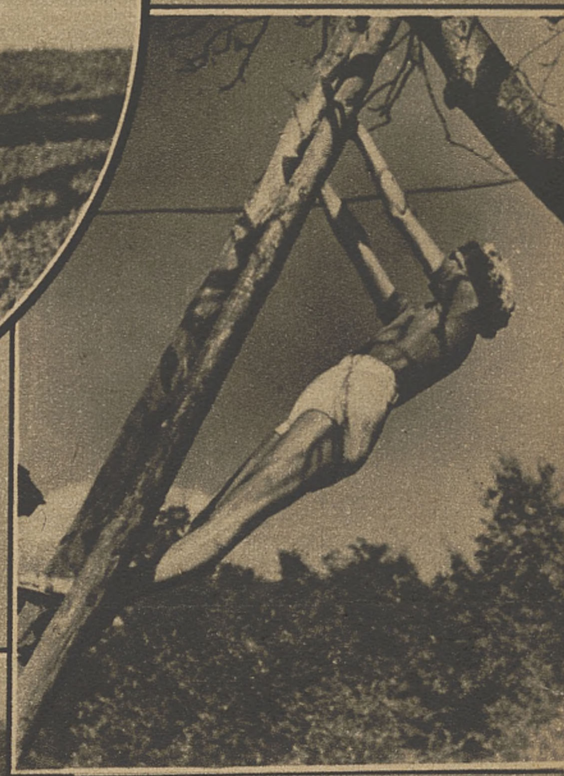
W szmaragdach liści ptaszek — mały klejnot — kołysze skrzydła, stworzone do lotu . . . i serce zaraz huśta się nadzieją, że i ja mogę być wśród tych klejnotów . . . Przecież drwię sobie z przyciągania ziemi, i rzutem nóg mych do góry się wzbiję, a tam za pan brat z liśćmi zielonymi, wzniosłej akacji rzucę się na szyję. Już! wyżej — wyżej – ku słonecznej tarczy — siostrzyczka ptasza coraz bardziej blisko! Słupki drabiny zamiast stopni starczą, w mocnym, z a c h ł a n n y m s t ó p m o i c h u ś c i s k u . . .

— — — — — — — — — — — —

— Spocznij! Niech serca silny rytm ucichnie, i w krwi utopi rozkoszne zmęczenie. Ciało na chwilę w bezruchu zawiśnie pod szmaragdowym rozhuśtanym cieniem. Dach arogancko próbuje być wyżej!! Damy mu radę — zapadnie się w ziemię!! Zębami gontów niechaj trawę gryzie, z gniewu i wstydu . . . Hej, w górę, w przestrzenie!! Oczyma mierzę drzewny pień wysoki, platformę nieba równą i błękitną — raz . . . dwa . . . trzy . . . oddech równy i głęboki, i — znów w słoneczną wędrówkę ku s z c z y t o m !

— — — — — — — —

Nade mną niebo, a przede mną — pustka! A w koło świeżość, jak ten świat olbrzymia! Słońce w n a g r o d ę całuje mnie





w usta, a gałąź w uścisk chwyciła i trzyma. I jak ptak wiszę, zarzucona w przestrzeń, własną śmiałością i ruchu kochaniem! jak skrzydła — w górę uniosły mnie mięśnie . . . i już się chyba z niebem nie rozstanę! Skoczę — i słońce uchwycę w objęcia, cudne i ciepłe przytulę do twarzy! i już przez wieczność — pijana ze szczęścia — z ptakami pragnę wśród gałęzi gwarzyć . . . . . .

Tekst: M. A. Hessel

Fot.: „Spudich".

